

## **Od Radegundy do Julianny**

2019  
975 LAT FUNDACJI  
80 -LECIE POWROTU  
BENEDYKTYNÓW DO TYŃCA

Małgorzata Borkowska OSB

# Od Radegundy do Julianny



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

*Opracowanie graficzne:*

Jan Nieć

*Korekta:*

Anna Nowak

*Imprimi potest:* Opactwo Benedyktynów

L.dz. 36/2019, Tyniec, dnia 13.02.2019

† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie drugie: Kraków 2018

ISBN 978-83-7354-877-0

© Copyright by s. Małgorzata Borkowska OSB

© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków

tel. +48 (12) 688-52-90, tel./fax: +48 (12) 688-52-95

e-mail: [zamowienia@tyniec.com.pl](mailto:zamowienia@tyniec.com.pl)

[www.tyniec.com.pl](http://www.tyniec.com.pl)

*Druk i oprawa:*

Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

[druk@tyniec.com.pl](mailto:druk@tyniec.com.pl)

# Spis treści

Przedmowa . . . . .	7
Mistyk i jego tekst . . . . .	9
Radegunda: świętość w wilczym stadzie . . . . .	19
Batyllda . . . . .	49
Hilda z Whitby: pokój podzielonym . . . . .	51
Labirynty merowińskich świętych . . . . .	71
Lioba, wszystkim miła . . . . .	85
Hroswita, czyli potężny krzyk . . . . .	101
Święta radość: Hildegarda z Bingen . . . . .	113
Elżbieta z Schönau: kłopoty z filtrem . . . . .	125
Herrada encyklopedystka . . . . .	137
Plama na słońcu: Julianna z Mont-Cornillon . . . . .	143
Mechtylda beginka . . . . .	157
Helfta i jej mistyczki . . . . .	169
Środowisko . . . . .	169
Wspólnota . . . . .	176
Św. Mechtylda mniszka . . . . .	191
Gertruda Wielka . . . . .	195
Losy ich pism . . . . .	217
Szkoła modlitwy . . . . .	221
W szkole liturgii . . . . .	221
Ćwiczenia . . . . .	231
Herold: pamiątka darów Bożej miłości . . . . .	236

Brygida, czyli szukanie Bożego ładu. . . . .	243
Julianna z Norwich:	
wszystko wyjdzie na dobre . . . . .	249
Nieco lektury . . . . .	261
Indeks . . . . .	263

## Przedmowa

**T**a książka jest pomyślana jako trzecia z cyklu, rozpoczętego tomikiem *Mniszki*, który zawierał szkice biograficzne polskich benedyktynek z XVI i XVII wieku, a kontynuowanego przez *Twarze Ojców Pustyni*, zbiór szkiców o najdawniejszych pustelnikach chrześcijańskich. Tom trzeci mówi o mało u nas znanych postaciach świętych kobiet, zakonnic żyjących w wiekach od VI do XIV. Dwie rzeczy trzeba stwierdzić na wstępie. Po pierwsze, tom nie jest jednorodny. Niektóre z tych szkiców powstały jako artykuły, inne jako wstępy do wydań tekstów ich bohaterek, co oczywiście powoduje różnice w stylu; gromadząc je teraz w jednym miejscu i dodając nowe (których jest większość), zachowałam je mimo to na ogół bez zmian. Chodziło mi po prostu o to, żeby teksty te, powiązane wspólną tematyką, były dostępne razem, gdyż tworzą pewną całość.

Po drugie, mówiąc o konkretnych ludziach, trzeba było także mówić o ich środowisku, zarówno szerszym, jak i najbliższym, inaczej ich losy i problemy byłyby niezrozumiałe. Powoli powstawało coś

jakby szkic kilkuset lat dziejów Europy, i to wcale nie tylko dziejów kościelnych. Tak zwana wielka polityka ma ogromny wpływ na losy ludzkie, to oczywiste, ale jest także i wpływ odwrotny: pojedyncze decyzje małych ludzi, o których nikt w szerokim świecie nie słyszał i nie brał ich pod uwagę, mogą mieć ostatecznie ogromne znaczenie dla losów świata. Wszystko jest ze sobą splecione: dążenia święte i nieświęte, i te najczęstsze, święte tylko w połowie. Nie ma takiego odludzia na ziemi, w którym by się nie było dzieckiem swojej epoki i rodzicem przyszłej. Właśnie to połączenie, ten splot, w którym Bóg tylko może osądzić wartość i świętość poszczególnych nitek, poszczególnych decyzji i dążeń, sprawia, że ludzie wszystkich epok są nam bliscy. Mogli mieć inne poglądy niż my na naturę błyskawicy albo na realność czarów, ale byli dokładnie tak samo złożeni i uwarunkowani; te uwarunkowania trzeba próbować wyjaśnić albo przynajmniej zidentyfikować.

I wreszcie, ktokolwiek podejmuje taką pracę, staje przed problemem źródeł. Jest oczywiste, że najlepiej można poznać człowieka, jeśli się ma dostęp do jego własnych wypowiedzi. Stąd w tej książce tak duża reprezentacja postaci, które pozostawiły jakieś teksty, zwłaszcza wyznania o swoich modlitewnych przeżyciach. I stąd także potrzeba, żeby na wstępie przypomnieć, kto to jest mistyk i co to są objawienia prywatne.



## Mistyk i jego tekst

**M**istyk to człowiek, który został podniesiony przez Boga do nieosiągalnego dla czysto ludzkich wysiłków stanu modlitwy. I tyle. Nikt nie wie, ilu jest mistyków i gdzie ich znaleźć. Tradycja Ojców pustyni każe szukać wielkich przyjaciół Bożych we wszystkich stanach i we wszelkich, nawet całkiem nieprawdopodobnych dla ludzkiego spodziewania, sytuacjach. Rzecz w tym, że są oni przeważnie ukryci i tylko w jakimś chyba bardzo nikłym procencie ujawniają się światu, ponieważ uważają, słusznie czy niesłusznie, że z rozkazu Bożego mają bliźnim coś do powiedzenia. Inaczej mówiąc, sądzą, że otrzymali objawienie i że to objawienie adresowane jest także do innych. I tu się zaczynają trudności.

Biorąc do ręki zapis prywatnych objawień, niezależnie od tego, czy powstały w XIII, czy w XX wieku, spotykamy się przede wszystkim ze zdumiewającym, a dla niektórych szokującym twierdzeniem, że pisząca osoba rozmawia z samym Chrystusem, już nie mówiąc o tym, że i z aniołami

i świętymi, otrzymuje wprost od Niego pouczenia i komentarze dotyczące czasem spraw wielkich, ale bardzo często także drobnych zdarzeń codziennego życia i różnych problemów, przed którymi właśnie stoi. Są ludzie, których takie twierdzenie odpycha i którzy z tej racji nie potrafią się przemóc, by przeczytać, na przykład, dzienniczek św. Faustyny Kowalskiej. Od samego początku założmy więc jako podstawę dalszych rozważań, że nie mają obowiązku czytać. Żadne zwierzenia żadnego mistyka, kiedykolwiek i gdziekolwiek by powstały, nie są niczym więcej niż prywatnymi objawieniami: nie mają rangi Objawienia biblijnego ani rangi oficjalnej nauki Kościoła. (Kościół może najwyżej stwierdzić, i nieraz rzeczywiście po starannym przebadaniu tekstu stwierdza, że nie są z tą nauką w niczym sprzeczne). Nikogo nie obowiązuje ani ta lektura, ani wiara we wszystko, co tam powiedziano. Nikt nie zgrzeszy, odkładając taką książkę i więcej nie biorąc jej do ręki. Niemniej zwierzenia takie można czytać z duchowym pożytkiem, gdyż po to powstały. Dla tych więc, którzy czytać je chcą i potrafią, trzeba będzie tu jeszcze dodać kilka wyjaśnień.

Po pierwsze, musimy pamiętać, że przeżycie mistyczne jest z natury swojej przeżyciem niewyrażalnym. Jest bowiem kontaktem z rzeczywistością Boga, rzeczywistością duchową – podczas

gdy wszystkie środki wyrazu, jakimi język ludzki dysponuje, nawet pojęcia oderwane, nawet terminy teologiczne, są z konieczności oparte na spostrzeżeniach i przeżyciach zmysłowych. Takie jest przecież pochodzenie całego naszego słownictwa w jakimkolwiek języku. Zresztą jak przełożyć To, co jest samo w sobie Jedno, na wielość ludzkich słów? Już więc z samego założenia możemy się spodziewać, że mistyk znajdzie tylko bardzo niedoskonały sposób wyrażenia tego, co przeżył. Będzie także nieraz usiłował wspomóc nieudolność dostępnego sobie słownictwa, stosując obraz poetycki, przenośnię, symbol. Po drugie, nie da się uniknąć tego, że znalezione środki wyrazu będą pochodzić z doświadczeń, a więc ze skojarzeń, lektur, zdolności, charakteru, środowiska, epoki i tak dalej – samego mistyka. Boże światło, które on w niewyrażalny sposób dojrzał, dociera więc do nas przefiltrowane przez jego psychikę. Indywidualny zespół skojarzeń zaznacza się choćby w rodzaju używanych obrazów czy przenośni. I tak św. Franciszek z Asyżu odbiera jedno ze swych najgłębszych przeżyć mistycznych jako muzykę anioła, grającego zresztą tylko na jednej strunie; u św. Teresy z Ávila natomiast jednym z głównych terminów jest „smak”. To zróżnicowanie stanowi kolejny próg dla czytelników, gdyż mogą się znaleźć i tacy, którzy nie mając w zasadzie nic prze-

ciw autorom mistycznym, jednych spośród nich czytają z łatwością i pożytkiem, jako że ich „filtr” jest dla nich zrozumiały, innych natomiast nie tolerują zupełnie. Trzeba w jakimś przynajmniej stopniu dzielić z autorem rodzaj skojarzeń, rozumieć jego słownictwo i obrazy; inaczej czyta się tylko powierzchownie i pozostaje z tej lektury wrażenie taniej sensacji. Oczywiście jednym z ułatwień jest życie w tej samej epoce co autor mistyczny, ale to także nie działa mechanicznie i może raczej należałoby powiedzieć, że fakt nie należenia do tej samej epoki jest jednym z możliwych utrudnień lektury. Nikt na przykład w czasach św. Gertrudy nie potrzebował, by mu wyjaśniano obowiązki herolda, ale nie mają one odpowiednika w dzisiejszym protokole dyplomatycznym. Pewną rolę może tu grać także i warsztat pisarski, gdyż bywają wśród mistyków tacy, którym dano w tej dziedzinie wybitny talent (jak choćby właśnie św. Teresie z Ávila), ale bywają i tacy, którzy wręcz z ortografią mają problemy; nadto nawet wśród zdolnych pisarzy bywają urodzeni poeci i urodzeni prozaicy. To różnicowanie zdolności odnosi się zresztą także i do Objawienia biblijnego. Żeby się o tym przekonać, wystarczy porównać długie, niezgrabne, mozolnie szczegółowe „przypowieści” Ezechiela z mistrzowską grą skrótowych obrazów literackich u Izajasza.

W praktyce jednak chyba największym utrudnieniem lektury jest niemal nieuchronna w opisach przeżyć mistycznych obecność słów i obrazów czerpanych z dziedziny ludzkiej miłości. Czytelnik urodzony w XX wieku i wychowany na Freudzie odruchowo dopatruje się tutaj rzutowania ludzkich tęsknot na Boga, posądzając o to zwłaszcza mistyków żyjących w celibacie. Odkłada więc książkę z niesmakiem i z wyrokiem w rodzaju: „Nie ma biedaczka męża, to sobie wyobraża, że się przytuliła do Chrystusa”. Wedle takiego pojmowania, rzeczywistością są ludzkie popędy, a ich nie najszcześniejszym odbiciem, zwłaszcza u osób sfrustrowanych – tak zwane przeżycia mistyczne. W istocie jest wręcz odwrotnie. Przeżycie mistyczne jest rzeczywistością tak pełną i ostateczną, że w porównaniu z nim świat, środowisko, nawet własne ciało są tylko cieniem, a już cieniem cieniów są wyrazy, którymi próbuje się je oddać. Jednak szukając jakby po omacku możliwie najmocniejszych i najwymowniejszych obrazów, trafia się zwykle na te właśnie, którymi ludzie zwykli na ziemi opisywać miłość. Wiedzieli o tym mistycy od początku, odkąd Bóg zaczął objawiać swoją obecność; i to wszyscy, bez różnicy płci, stanu cywilnego i epoki. Wiedział o tym na przykład biblijny autor Pieśni nad Pieśniami; wiedzieli o tym także autorzy monastyczni, a już przede wszyst-

kim św. Bernard, którego najważniejsze dzieło jest właśnie komentarzem do Pieśni. Na jego też przede wszystkim frazeologię natrafiały, szukając wyrazu dla swoich przeżyć, między innymi jego zakonne współsiostry i czytelniczki, mistyczki z Helfty.

Podobną funkcję pełnią wszelkiego rodzaju superlatywy. Jak oddać wszechogarniającą radość, unikając słów takich, jak: „słodczy”, „najmilszy”, „raj”? Mistyk używa tych słów dlatego po prostu, że lepszych, a zwłaszcza mocniejszych, nie ma, chociaż dla niego są one i tak jeszcze niewyobrażalnie blade. Po czym przychodzi czytelnik i krzywi się: przesłodzone! Krytykowano w ten sposób na przykład dzieło Gertrudy z Helfty, nawet doceniając jednocześnie jego wartość: pewien kierownik duchowy w siedemnastowiecznej Francji, gdzie bardzo dobrze znano się na literaturze, zalecał swym podopiecznym czytać je mimo lekkiego niesmaku, który mogłoby budzić...

Ponieważ – powtórzmy – tekst objawień jest światłem<sup>1</sup> przefiltrowanym przez czyjąś konkretną psychikę, nie możemy się dziwić, że w usta Chrystusa włożone są sformułowania charakterystyczne dla pojęć środowiska, w którym mistyk żyje,

---

<sup>1</sup> Chodzi o natchnienie, przebłysk zrozumienia, iluminację (przyp. red.).



porównania dla tego środowiska zrozumiałe, obrazy wzięte z otaczającej go rzeczywistości. Kto by się na ich miejsce spodziewał, na przykład, obrazów i porównań wziętych z czasów życia Chrystusa na ziemi jako świadectwa, że to On naprawdę mówi, a nie jedynie jako echa lektury mistyka – ten nie tylko nie dostrzegałby przepaści, jaka istnieje między przeżyciem mistycznym a jego zapisem, ale także nie doceniałby kurtuazji Pana, który objawiając się swemu stworzeniu, pozwala mu ujmować to przeżycie we własnym języku. W sumie teksty, które otrzymujemy, są przypuszczalnie najlepszym osiągalnym dla danego mistyka wyrazem niewyrażalnego kontaktu z Bogiem, ale to nie znaczy, że muszą być we wszystkich szczegółach do przyjęcia dla czytelników. Należy je więc zawsze ujmować jako całość raczej niż jako zbiór sensacyjnych drobiazgów. Św. Gertruda miała nadzieję, że dzieląc się swymi przeżyciami, zachęci wielu ludzi do modlitwy; nie w tym celu więc pisała, żeby czytelnicy mogli zaspokajać ciekawość szczegółami albo domagać się od Boga przeżyć mistycznych także i dla siebie, lub tym bardziej usiłować je sobie wmawiać – ale w tym, aby znaleźli jeden więcej dowód Bożej dobroci, jeden więcej motyw ufności. Po czym powinni książkę odłożyć, gdyż nie jest już dłużej potrzebna, i zająć się

radosną służbą Panu. Dziś nazwalibyśmy to apostołstwem kontemplacji.

I wreszcie sam temat zapisu może budzić więcej lub mniej problemów. Jeśli jest w nim treść teologiczna, sprawa jest prosta: Kościół sprawdza, czy ta treść zgadza się z jego nauką, i zależnie od skutku tego badania bądź ostrzega przed takim dziełem, jako zawierającym wątpliwego pochodzenia tezy, bądź stwierdza, że wolne jest ono od błędu i może być czytane z pożytkiem. Problemy dużo większe pojawiają się tam, gdzie treść jest, nazwijmy to, faktograficzna: dzieło opisuje zdarzenia przeszłe, niemożliwe do poznania przy ówczesnym stanie wiedzy historycznej, lub przepowiada przyszłe. Trudno już na przykład policzyć, ile świętych i pobożnych osób opisywało i nadal opisuje Mękę Chrystusa z najdrobniejszymi szczegółami, bieda tylko w tym, że te szczegóły nie są zgodne. Czytelnik może więc zasadnie nie przyjąć żadnej wersji, czy to będzie opis św. Brygidy, czy Katarzyny Emmerich, czy którejś z dzisiejszych wizjonerek, jako autentycznej i lepszej od innych; może tylko odczytać zapis wstrząsu, podzielić go i stwierdzić, że jakoś podobnie musiało to być. Co zaś do przepowiedni, odwieczna zasada brzmi, że ich prawdę poznaje się, kiedy się spełnią. I dopiero wtedy; z góry nigdy pewności mieć nie można. Nie daje jej nawet osobista świątobliwość proroka.



Oczywiście nie wszystkie przywołane w tym tomie postacie to mistyczki. Świętość nie zależy od tego, do jakiego rodzaju modlitwy został ktoś wezwany, ale od stopnia miłości. Nawet zresztą nie wszystkie te postacie to uznane święte. Poza tym można byłoby wybrać ich jeszcze o wiele więcej, więc skład tego tomu podyktowany jest przez dość przypadkowe względy: przez dostępność danych z jednej strony, a przez wybór fascynujących mnie osobiście postaci – z drugiej.



## Radegunda: świętość w wilczym stadzie

**E**poka wędrówki ludów zakończona. Po prostu dlatego że dalej nie ma już dokąd iść. Może przed wiekami, w dawno zapomnianej azjatyckiej ojczyźnie, z której to wszystko wykipiało, praojcowie wyobrażali sobie, że ziemia cała jest sucha i można po niej iść w nieskończoność, poszukując coraz to nowych siedzib. Ich potomkowie, kiedy już wreszcie rzymskie legiony przestały bronić przepraw na Renie i Dunaju, przekonali się, że idąc na zachód, zapędzili się w kozi róg. Jedno z germańskich plemion, doszedłszy do oceanu, przepравиło się przez Gibraltar do Afryki; ale reszta zaczęła się kłębić na terenie byłych prowincji rzymskich. Te zaś były już od wieków gęsto zaludnione; część mieszkańców oczywiście najeźdźcy wybili, ale większość zostawili na miejscu w roli poddanych tubylców, różnie przez różne plemiona określanych.

I mniejsza już o to kłębianie się, o wiecznie sporne i płonące granice między plemionami; ale

i w obrębie samych plemion łatwo można było zasnąć w jednym królestwie, a obudzić się w innym. Po zmarłym królu nie panował najstarszy syn – wszyscy synowie stawali do podziału schedy, wobec czego nagle z jednego większego królestwa mogły się zrobić trzy lub cztery mniejsze. Potem ich królowie, chociaż bracia, walczyli między sobą i wybijali się nawzajem, wciągając do tej walki sąsiadów, zwłaszcza swoich teściów i szwagrów. A tych mogli mieć sporo, bo żon miewali po kilka; jeden na przykład z królów frankijskich, którego jeszcze spotkamy, kiedy go żona prosiła, żeby dla jej siostry znalazł męża godnego królewskiej szwagierki, uznał, że najgodniejszy będzie on sam, więc urządził wesele i odtąd miał dwie żony – no, przynajmniej dwie. Nieraz pod koniec rządów pokolenia, które dokonało podziału, najsilniejszy z braci po wybiciu słabszych (wraz z ich rodzinami) z powrotem jednoczył państwo, ale rzadko w takich samych dokładnie granicach, jakie miało w chwili śmierci ojca, bo przez dwadzieścia czy trzydzieści lat zdarzały się przecież także zyski i straty terytorialne spowodowane przez zatargi z sąsiadami. Jedna wielka kipiąca magma: dla dzielnych wojowników jednak był to świat taki, jaki znali i uważali za normalny. Dla podbitych: wilcze stado. Cóż, ci podbici byli od wieków przyzwyczajeni do ładu zwanego *pax Romana*.

Prawda: można było czasem mimo kłęski wyjść z życiem, jeśli zwycięzca zadowolił się... ostrzyżeniem zwyciężonego. Człowiek pozbawiony długich włosów automatycznie spadał na ostatnie miejsce w stadzie; wyglądał jak chrześcijański mnich, a więc ktoś kompletnie pozbawiony plemiennego znaczenia, albo jak krótkowłosa według rzymskiej mody tubylec, reprezentant ludności podbitej. Problem jednak tkwił w tym, że trzeba było potem pilnować, żeby się regularnie strzygł. Ostatecznie więc mniej kłopotu było z zabiciem; zresztą i zwyciężony też się wtedy krócej męczył, bo omijała go hańba.

Po każdej bitwie dzielono łupy, rzucając o nie losy. Jeżeli powstała jakaś sprzeczka, rozstrzygano ją z bronią w ręku. Tak właśnie Chlodwig, król Franków, zabił jednego ze swoich wojowników, ponieważ ten w imię starego prawa sprzeciwiał się zabraniu przez króla części łupu przed losowaniem. Ten to Chlodwig tuż przed rokiem 500 przyjął chrzest. Wiele wieków trwa już dysputa, czy zrobił to ze szczerzej fascynacji wiarą, którą mu przekazywali jego chrześcijańska żona i święty biskup Remigiusz, czy też z politycznej kalkulacji: ostatecznie w ten sposób Chlodwig stawał się jedynym spośród germańskich królów i królików, na którego chrześcijańska ludność podbita, liczniejsza przecież od zdobywców, mogła patrzeć

jak na współwyznawcę i obrońcę. (Wszystkie inne plemiona germańskie na kontynencie były albo jeszcze pogańskie, albo ariańskie). Zupełnie nie wiadomo, dlaczego te dwie motywacje miałyby się wzajemnie wykluczać; prawdopodobnie jedna wspierała drugą. Chlodwig fascynację okazywał szczerą – słynny jest jego okrzyk, gdy mu opowiadano o Męce Chrystusa: „Dlaczego mnie tam nie było z moimi Frankami!”; a że politycznie na tym nie stracił, to także prawda, bo mógł być pewny, że ani mu się chrześcijańska ludność galloromańska nie zbuntuje, ani Kościół nie będzie stawał okoniem. Znacznie rozszerzył państwo, konkurentów starannie powybił, a jego potomkowie, nazwani Merowingami od półlegendarnego przodka Merowecha, ostatecznie dokończyli zjednoczenia Galii.

Na razie jednak bliżej było do kolejnego podziału niż do zjednoczenia. Po śmierci Chlodwiga jego czterej ochrzczeni już oczywiście synowie zostali królami swoich „działek”. Najbardziej długowiecznym z nich okazał się Chlotar I, który też w roku 558 – a więc trzy lata przed śmiercią – zdążył państwo Franków na nowo zjednoczyć. Do tego czasu stolicę miał w Soissons, położonym na północny wschód od Paryża; a jego głównymi nieprzyjaciółmi (jeśli nie liczyć własnych braci) byli pogańscy Turyngowie. Ich siedziby znajdowały

wały się za wschodnią granicą państwa Chlotara, a ponoć dopuszczali się oni podczas wojen wyjątkowych okrucieństw. Jednak opowiadanie woźdza Franków o tych okrucieństwach, przytoczone przez Grzegorza z Tours, mogło być tylko propagandą, kiedy przed bitwą chodziło o pobudzenie zawziętości wojowników. Prawdopodobnie zresztą przyganiał kocioł garnkowi; u siebie w czasie pokoju jedni i drudzy wybijali się wzajemnie dokładnie tak samo. Dopiero co król Turyngii Hermanfrid pozbył się dwóch swoich braci; dzieci jednak przynajmniej po jednym z nich, Bertacharze, pozostawił przy życiu. Było trzech chłopców i córeczka Radegunda. Nie chciałabym być królowną w Turyngii; zawsze by mi groziła możliwość, że się będę wychowywać na dworze stryja, który mi zabił ojca i któremu jeszcze w dodatku musiałabym być wdzięczna, że i mnie przy tej okazji nie zabił...

Niedługo trwało to wychowywanie; Radegunda była jeszcze dzieckiem, kiedy Turyngię najechali Frankowie (w roku 531) i zadali jej krwawemu stryjowi straszną klęskę. Z rzezi ocalała ona i jej najmłodszy brat, ale w roli łupu. Kiedy ten łup po bitwie dzielono, królowi Chlotarowi spodobała się mała branka, niestety jednak los przydzielił ją jednemu z wojowników. Stanęli wobec tego do walki, w której król zabił swojego towarzysza bro-

ni i w ten sposób całkiem legalnie zawładnął jego trofeum. Nie inaczej wilk chodzi w zaloty.

Król miał już jednak przynajmniej dwie żony (Ingundę i Aregundę, owe rodzone siostry, o których tu już wspomniano), a może i cztery, jeśli poprzednio pojęte również jeszcze żyły. Zapewne Ingunda, najbardziej spośród nich wpływowa, uważała, że to dosyć. Przyczyniła się więc do tego, że nowa zdobycz chwilowo nie została piątą żoną, tylko królewską narzeczoną na wychowaniu. Może zresztą była jeszcze za mała. Podawana często data jej urodzenia (rok 518) – zgodnie z nią w niewoli znalazłaby się w wieku lat trzy-nastu (a więc według ówczesnych norm dorosła już do małżeństwa) – jest prawdopodobnie przesunięta o jakieś pięć lat. W każdym razie wychowywała się odtąd w należącym do króla wiejskim dworku i tam uczyła się religii chrześcijańskiej oraz czytania i pisania, a tym samym niewątpliwie łaciny. Nawet jak na królową był to wysoki poziom wykształcenia! Bieda w tym, że małej brance świat Kościoła podobał się o wiele bardziej niż świat dworu. W wolnych chwilach zbierała gromadę okolicznych dzieciaków i bawiła się z nimi nie w uczyty i parady, ale w usługiwanie biednym, w procesje i w porządkowanie kaplicy. Inaczej mówiąc, w styl życia ówczesnych diakonis i mniszek.



Lecz nie miała wyboru. Zwyczajowe prawo germańskie uznawało trzy rodzaje małżeństwa: przez związek z kobietą niezależną (*Friedelehe*), co miało tylko ograniczone skutki prawne; przez zakup od rodziny, i ten sposób prawo faworyzowało; a także przez porwanie (*Raubehe*). W żadnym z nich sama kobieta nie miała swobody decyzji, ale już najmniej w tym ostatnim; i mała branka mogła tylko być wdzięczna, że zrobią z niej nie konkubinę bez żadnych praw, ale pełnoprawną małżonkę i królową. Już taki był jej los, że wciąż musiała być wdzięczna za coś, o co absolutnie nie prosiła; po prostu dlatego że mogło być jeszcze gorzej.

W popularnych żywotach Radegundy można na ogół przeczytać, że została ostatecznie żoną Chlotara po śmierci Ingundy, jedynej poprzedniej żony, o której te żywoty wspominają. Wygląda to na poprawne, monogamiczne małżeństwo chrześcijańskiego króla... Rzeczywistość jednak na merowińskim dworze była zdecydowanie nie-ochrzczona, rok śmierci Ingundy nie jest znany (choć oczywiście możliwe, że zeszła ona uprzednio z tego świata we właściwym momencie), a i sama data małżeństwa Radegundy nie jest pewna: między rokiem 536 a 540. Najnowsza żona, i to prawdopodobnie wielce urodziwa (skoro królowi chciało się o nią bić), miała szansę stać się teraz tą pierwszą, najważniejszą i najbardziej wpływo-

wą – gdyby chciała, gdyby się tak umiała przymi-  
lić jak niegdyś Ingunda. Radegundzie jednak na  
tym nie zależało. Owszem, wniosła do swojej no-  
wej rodziny serce gotowe kochać – ale to była mi-  
łość pełna dobroci i troski, absolutnie zaś nie za-  
borcza i nie interesowna. Inaczej mówiąc, choć  
urodzona w wilczym stadzie, nie okazała się wil-  
czycą. A miałyby do tego mnóstwo wzorów i pre-  
cedensów: wśród kobiet Merowingów bywały  
władczynie okrutne i ambitne, wcale od mężczyzn  
nie łagodniejsze. Ale ona zamiast szukać użycia  
i umacniać swoją pozycję, szukała obowiązków;  
i znajdowała ich tyle, że król musiał czasem cze-  
kać na obiad, bo królowa zajęta była posługą ubo-  
gim... A nocami wstawiała na modlitwę. Tak więc:  
królowa czy mniszka? Narzekał na nią Chlotar –  
niewątpliwie z wilczycą łatwiej by się porozumiał.  
Choćby dlatego że wilczyca wiedziałaby, iż wolno  
jej gryźć wszystkich poza wodzem stada. A Rade-  
gunda nawet od wodza nie wszystko była gotowa  
znieść i zaakceptować; ostateczne granice jej wy-  
trzymałości Chlotar miał poznać nieco później ku  
własnej stracie, ale jest bardzo prawdopodobne, że  
i przedtem spotykał się z jej strony ze szczerze wy-  
rażaną krytyką. Niewątpliwie bywało za co!

I w dodatku nie miała dzieci. Wprawdzie  
Chlotar miał ich już i tak sporą gromadkę, ale kró-  
lewskie potomstwo było przecież z góry przegna-

czony na odstrzał, kiedy po śmierci ojca zaczął ze sobą walczyć; więc im go było więcej, tym większa istniała pewność, że ktoś jednak pozostanie żywy. A tu – nic. Niemniej Chlotar nie odprawił jej, co mógł zrobić tym łatwiej, że jako branka wojenna, sierota po wygasłej już turyngińskiej dynastii, nie miała żadnego rodu, który by mógł się upominać o jej prawa. Zapewne szarpały nim mieszane uczucia: trochę przywiązania, trochę – mimo wszystko – szacunku, trochę uporu i chęci postawienia na swoim, trochę wyrachowania, bo nie mógł nie wiedzieć, jak wielka jest popularność Radegundy wśród ludu; to wszystko razem mogło sprawić, że tę swoją kłopotliwą żonę trzymał przy sobie. I trzeba przyznać, że był hojny. W zwyczajowym darze poślubnym (*Morgengabe*) dał Radegundzie posiadłość ziemską, chociaż wcale tego nie musiał robić, bo nie było to małżeństwo na zasadzie kontraktu między rodami; a później przy różnych okazjach jeszcze kilka razy ją obdarował.

Ten okres jej życia, trwający przynajmniej piętnaście lat (bo do roku 555), wymaga szczególnej uwagi. Mamy o Radegundzie dwie relacje, dwa żywoty: jeden spisany przez Wenancjusza Fortunata, długoletniego jej kapelana i współpracownika, i drugi, nieco późniejszy, pióra Baudonivii, jednej z uformowanych przez nią mniszek w Poitiers. Otóż zauważono niedawno, że postać Radegundy

ma w obu tych żywotach zdecydowanie różne cechy, a jej działanie – wyraźnie różną motywację. W pierwszym Radegunda jest w rodzinie królewskiej typową „mniszką nie na swoim miejscu”, według ówczesnego hagiograficznego schematu, stworzonego przez hagiografów mężczyzn i podkreślającego przede wszystkim pokorę i oderwanie się od świata, a w wypadku kobiety: naśladowanie cnót męskich. (Mężczyzn, jak wiadomo, cechowały cnoty, kobiety – słabości). Według pierwszego więc żywotopisarza Radegunda wybierała raczej posługę ubogim niż ucztę królewską dlatego, że wzgardziła światowym przepychem i starała się przynajmniej częściowo prowadzić życie mniszki. Z tego powodu modliła się po nocach i nosiła, ku wielkiej dezaprobacie męża, włosiennicę pod królewską szatą. Natomiast według Baudonivii jej motywem działania była po prostu miłość. Do ubogich, jako do tych najbardziej potrzebujących pomocy; ale także do rodziny, do której weszła, a ponad tym wszystkim oczywiście do Boga. I wszystkim tym miłościom miała Radegunda pozostać wierna do śmierci. Pojmijże, kto potrafi, różnicę.

Nie mając własnych dzieci, wychowywała troskliwie dziewczynkę imieniem Agnieszka, której przekazała wszystkie swoje dążenia i marzenia; w przyszłości będzie ją nazywać w dokumentach swoją ukochaną siostrą i wychowanką, ale

na pewno nie była to siostra rodzona. Ani chyba żadna Germanka turyńska czy frankońska. Łacińskich, chrześcijańskich imion nie nadawano wówczas dzieciom zdobywców, w całej genealogii królów merowińskich nie ma ani jednego. Rade- gunda opiekowała się oczywiście także swoim bra- tem Chlodochem, który razem z nią ocalał jako dziecko z rzezi w Turyngii i potem żył w jakiejś niezbyt określonej roli na dworze swego szwagra. Oboje byli sobie najbliżsi.

Poza tym pokochała szczerze swoich pasier- bów, dzieci Chlotara z innych żon, a miał ośmiu synów i córkę, licząc tych tylko, którzy dożyli wieku dojrzałego i zostali zauważeni przez kro- nikarzy. Zdaje się jednak, że nawet obecność tylu bliskich jej sercu osób nie wystarczała, żeby ją po- godzić na stałe ze zwyczajami wilczego stada, i że potrzeba jej było co jakiś czas przynajmniej krót- kiego urlopu. W każdym razie spotykamy ją kie- dyś jadącą w odwiedziny do przyjaciółki miesz- kającej nad Sommą, a więc o dzień lub dwa dni drogi od Soissons. Może kronikarze nie uznaliby tego faktu za godny zapisania, gdyby nie przygo- da, która wydarzyła się po drodze: Radegunda dowiedziała się mianowicie, że w okolicy istnieje i funkcjonuje świątynia pogańska, i natychmiast pojechała tam, by ją spalić. Niewątpliwie podró- żowała ze sporym orszakiem ochronnym, inaczej

prawdopodobnie nie wyszłaby z tego żywa. Drogi nie były bezpieczne dla samotnych bezbronnych wędrowców, nawet i takich, którzy niczyich świętości palić nie mieli zamiaru.

Ale i królewski dwór był niebezpiecznym miejscem. Coraz tam spadała czyjaś głowa, i czasem było za co, a czasem nie było. Protestować, bronić było za późno, kiedy już trup leżał; a nie było sądu, przed który by można pozwać władcę. Jeden z nieco późniejszych merowińskich królów kazał udusić własnego syna z namowy jego macochy. Powiedziane, wykonane, potem spóźniony żal. Prawdopodobnie więc nikogo specjalnie nie zdziwiło, kiedy pewnego dnia w roku 555 najnowszą ofiarą czy to czyjejś intrygi, czy królewskiego ataku gniewu okazał się Chlodochar, ukochany brat królowej. I właśnie wtedy Rade-gunda ku zdumieniu wszystkich powiedziała „dosyc”. I odeszła. Tego nie było przedtem ani potem, żeby przewodnikowi wilczego stada tak ktoś dał prztyczka w nos; i w dodatku własna żona. Chlotar musiał mieć z początku niezbyt mądrą minę. Pytanie zresztą, czy taki szok nie był jedyną możliwą metodą uświadomienia mu ohydy jego okrucieństwa, skoro przecież ani on sam, ani nikt z jego otoczenia dotychczas nie uważał okrucieństwa za ohydne; było rzeczą w stadzie normalną. Co o tym myśleli ci, którzy od wielu pokoleń byli już chrze-



ścijanami, nie liczyło się: to była przecież ludność podbita, służebna, niższa. Czego o tym uczył Kościół, też nie było aż takie ważne: biskupami i kapłanami zostawali przecież wciąż jeszcze ci krótko strzyżeni Gallorzymianie. A królowa im właśnie przyznała rację.

Stolicą Chlotara było wciąż jeszcze Soissons. Jakieś czterdzieści kilometrów na północny zachód stamtąd leży Noyon, gdzie mniej więcej dziesięć lat wcześniej powstało biskupstwo; biskupem był św. Medard. Jeszcze dziś, chcąc dotrzeć z Soissons do Noyon, trzeba albo podwójnie nałożyć drogi, objeżdżając lasy, albo zaryzykować jazdę drogami niższej jakości, a wtedy to musiała być po prostu puszcz. Czterdziestu kilometrów przez puszczę nie robi się pieszo i samotnie, nocą, biegnąc z rozwianym włosiem. Słynna ucieczka Radegundy musiała się odbyć zupełnie jawnie, w szatach królewskich i z orszakiem. Z najbliższego otoczenia miała przy sobie przynajmniej Agnieszkę i niewątpliwie kilka służebnic, a zresztą wiadomo, że ludzie Chlotara dotarli tam równocześnie z nią. Może stanowili po prostu jej zwykły orszak ochronny i dopiero na miejscu zrozumieli, czego ona szuka w Noyon?

Biskup Medard, choć święty, miał wszelkie prawo stracić w pierwszej chwili głowę: nagle zjawia się przed nim w kościele królowa i oznaj-

mia, że własnowolnie porzuciła króla i że chce zostać wyświęcona na diakonisę, zaraz, skoro tylko się przebierze! A na to przyskakują do biskupiego tronu wojownicy z długimi warkoczami i wyciągają biskupa siłą z prezbiterium, żeby przypadkiem rzeczywiście jej nie wyświęcił. Po czym z zakrystii wychodzi królowa, już przebrana w prosty strój, i skołowanemu biskupowi oświadcza uroczyście: „Pasterzu, będziesz winien zguby duszy twojej owieczki, jeśli boisz się bardziej człowieka niż Boga!”. Ktoś mniej świątobliwy może by jeszcze próbował zwlekać, pytać, tłumaczyć. A święty zrobił rachunek sumienia. Rzeczywiście, boi się; rzeczywiście, źle robi, skoro przecież Bóg jest większy od króla Chlotara. Położył ręce na głowie królowej i konsekrował ją tam, gdzie stał. Wojownicy widocznie nie trzymali go zbyt mocno; szacunku już się jednak musieli trochę nauczyć, ostatecznie byli ochrzczeni.

Dobrze, i co dalej? Problem jest teologiczny, polityczny, kościelny i pewnie wieloraki jeszcze poza tym, a w dodatku także po prostu ludzki. Bo przede wszystkim: co z chrześcijańskim małżeństwem? Ech... jakie tam ono było chrześcijańskie. Wedle prawa rzymskiego istotą legalnego małżeństwa jest zgoda obojga nowożeńców. Wedle prawa germańskiego – zgoda rodów. Wedle prawa kościelnego istotne jest też jednożeństwo. Tu nie było



ani jednego, ani drugiego, ani trzeciego. Dziewczynę przemocą włączono do grona królewskich żon, jak to się robiło w Persji za czasów Estery. Legalność takiego „małżeństwa” jest mocno dyskusyjna... Albo byłaby, gdyby możliwa była dyskusja z władcą. Władca na ogół nie dyskutuje, bo uznaje tylko jeden punkt widzenia: własny. I jeden ma argument: swoją władzę.

W Kościele już od dłuższego czasu narasta sprzeciw kleru wobec wyświęcania kobiet na diakonisy. Tym, które chcą posługiwać chorym, ubogim i ołtarzowi, niech wystarczy stan i konsekracja wdów, a nie żadne święcenia sakramentalne; tak postanowiły już synody krajowe Galii w 517 i 533 roku. Wbrew temu zakazowi Medard jednak udzielił Radegundzie święceń. Ktoś mógłby zakwestionować ich prawomocność. No, na takich subtelnościach prawnych to Chlotar chyba się nie zna. Ale skoro ona już jest diakonisą, należy do stanu duchownego i biskup ma obowiązek jej bronić, tym bardziej że diakonisę obowiązuje celibat.

A od strony ludzkiej, właściwie od dwóch stron: z jednej jest protest przeciw dalszemu przymusowi życia w niechcianym stanie i biernego akceptowania tego, z czym się pogodzić niepodobna; z drugiej urażony honor samca i przewodnika stada. Ale może jednak i jakaś miłość do niej mimo wszystko? To się okaże. Ryzykując głowę (król

może mieć swój topór bojowy w zasięgu ręki, a potrafi go użyć w rozmowie), Medard jedzie do Soissons jako mediator.

I wrócił żywy, i nawet uzyskał tyle, że Chlotar zgodził się na czasową przynajmniej rozłąkę i podarował Radegundzie willę koło Poitiers; tam zamieszkała i urządziła hospicjum dla ubogich, którym posługiwała. To jednak była wciąż jeszcze sytuacja tymczasowa, król (może zdumiony własną wyrozumiałością) oczekiwał nadal, że ona wróci. Kiedy jego naciski zaczęły się mnożyć, Radegunda zwróciła się o kolejną mediację do św. Germanusa, późniejszego (565–576) biskupa Paryża. Ten cudotwórca i zarazem dyplomata miał w kraju tak ogromny autorytet, że Chlotar ostatecznie zgodził się na wszystko, czego chciała żona. Czy to było z jego strony prawdziwe nawrócenie? W każdym razie ten wstrząs, który mu Radegunda zaaplikowała, coś jednak musiał w nim zmienić. W końcu nie tylko zwrócił żonie wolność, ale nadto pomógł jej założyć w Poitiers klasztor; po śmierci jej pierwszego obrońcy biskupa Medarda, uważanego powszechnie za świętego, ufundował w Soissons klasztor i kościół pod jego wezwaniem, żeby było gdzie godnie go pochować. Dał sobie nawet wytłumaczyć, że Wuldetrada, kolejna żona, którą pojął jeszcze dwa lata przed odejściem Radegundy, jako wdowa po jego stryjecznym wnuku

zoną jego być nie może. To bardzo dużo jak na wo-  
dza stada. Inna rzecz, że to już były ostatnie lata  
jego życia: zmarł w roku 561, zostawiając czterech  
żyjących jeszcze synów do podziału państwa, któ-  
re już wtedy obejmowało całość Galii.

Święty plotkarz Grzegorz z Tours, o którym  
nigdy nie wiadomo, jakie z opowiadanych wyda-  
rzeń zrelacjonuje krótko, a jakie poda z mnóstwem  
anegdotycznych szczegółów – z dialogami albo  
nawet z przytoczeniem dokumentów – pod ko-  
niec swoich *Historii* zamieszcza dwa bardzo cieka-  
we teksty dotyczące fundacji klasztoru w Poitiers.  
Prawda, zamieszcza je dlatego, że już po śmierci  
Radegundy, będąc wówczas biskupem pobliskie-  
go Tours, miał do czynienia z rozruchami wywo-  
łanymi przez niejaką Chrodechildę, mniszkę te-  
goż klasztoru, i podczas tych rozruchów musiał  
w swoich orzeczeniach powoływać się na doku-  
menty fundacyjne. Niemniej dzięki temu dostaje-  
my ich pełny tekst. Chronologicznie pierwszym  
z nich jest list skierowany przez siedmiu bisku-  
pów galijskich, prawdopodobnie podczas synodu  
w Tours w roku 567, do Radegundy. Okazuje się,  
że prosiła ona biskupów o publiczne stwierdzenie,  
że śluby złożone w jej klasztorze obowiązują do-  
żywotnio, co w owym czasie wcale nie rozumiało  
się samo przez się. Biskupi (a jest już wśród nich  
św. Germanus) spełniają tę prośbę, a nadto nakła-

dają ekskomunikę na ewentualne uciekinierki i na tych wszystkich, którzy by im w ucieczce pomogli. Przy okazji dowiadujemy się, że w klasztorze obowiązywała reguła św. Cezarego z Arles i że liczne dziewczęta z całej Galii wstępowały tam z entuzjazmem<sup>2</sup>.

Warto zauważyć, że wśród siedmiu biskupów, autorów listu, brak tego, który się tam przede wszystkim powinien znaleźć: biskupa Poitiers Merowecha. Już wtedy, na początku fundacji, istniał jakiś konflikt między nim a Radegundą, konflikt, który później przybrał dość ostrą formę. Ciekawe, że to właśnie jedyny w tym gronie biskup, który nosi germańskie imię. Może miał kompleks wyższości? O samej fundacji będzie Radegunda w przyszłości opowiadać tak:

Uwolniłam się z więzów światowego życia, (...) zwróciłam się do życia klasztornego i z całym zapalem i całą duszą skierowałam myśli moje także ku pożytkowi innych, aby moje dobre zamiary przy Bożej pomocy także bliźnim korzyść przyniosły. Założyłam więc w mie-

---

<sup>2</sup> Tym spośród czytelników, którzy uważają, że „dawniej” wstępowało się do klasztoru z przymusu rodziców, wyjaśniam, iż w Galii Merowingów było to zjawisko zupełnie nieznanne, przymuszano tylko do małżeństwa. Niemniej co innego jest wstąpić z entuzjazmem, a co innego wytrwać. Groźba ekskomuniki miała być ostrzeżeniem i zapobiegać zgorzleniom.

ście Poitiers klasztor dla mniszek, który najjaśniejszy pan król Chlotar zatwierdził i bogato wyposażył. A po jego założeniu nadałam temu klasztorowi przez darowiznę te wszystkie majątki, które mi król w swojej szczodroblewości podarował. Ponadto wspólnocie, którą tam zgromadziłam z pomocą Chrystusa, nadałam regułę, według której żyła święta Cezaria, a którą w swym staraniu z rozporządzeń świętych ojców stosownie zebrał i ułożył święty biskup, Cezary z Arles. Za zgodą świętych biskupów, zarówno w tym mieście, jak i tych, którzy przebywają w innych miastach, i po wyborze zakonnic, ksienią klasztoru ustanowiłam panią Agnieszkę, moją kochaną siostrę, którą już od młodości jak córkę kochałam i wychowałam; i sama siebie po Bogu pod jej nakazy oddałam. Wreszcie tak ja sama, jak i siostry moje, idąc za apostolskim przykładem, przekazałyśmy zapisem na rzecz klasztoru wszystko, co z ziemskich dóbr posiadałyśmy, (...) nie zatrzymując niczego jako naszej własności.

Bardzo bogaty tekst: zatrzymajmy się przy kilku głównych wątkach. Po pierwsze, fundacja miała służyć ogólnemu pożytkowi; i jak się okazuje, nie chodzi tu tylko o zapewnienie miejsca w klasztorze dziewczętom, które by chciały zostać mniszkami, ale ten pożytek obejmował właściwie cały kraj, klasztor bowiem pomyślany był jako miej-

sce nieustannej modlitwy w intencji pokoju i zgody między królami, to jest między synami Chlotara, pasierbami Radegundy. Baudonivia tak o tym pisze: „Ponieważ kochała wszystkich królów, modliła się za nich wszystkich, i nas bezustannie do takiej modlitwy zachęcała. Ilekroć słyszała o niezgodzie między nimi, trzęsa się cała i pisała listy do nich samych i do ich doradców”, używając swego niemałego autorytetu dla mediacji. Najwyraźniej tradycyjna frankijska metoda scalania państwa przez wzajemne wyrzynanie się dziedziców w każdym kolejnym pokoleniu (z dodaniem, oczywiście, rzezi ich armii i poddanych) nie cieszyła się aprobatą Radegundy! Tej samej sprawie pokoju miało służyć sprowadzenie relikwii Świętego Krzyża, o czym za chwilę.

Po drugie, przyjęto regułę cezariańską. To jest ważne o tyle, że większość ówczesnych wspólnot nie miała jeszcze żadnych pisanych reguł, ale prowadzono tam życie monastyczne według tradycji modyfikowanej przez lokalną interpretację. Takie wspólnoty bywały jednak nietrwałe, często służyły jednemu tylko pokoleniu lub niewiele dłużej, a ich zwyczaje ulegały zapomnieniu. Wielkie i trwałe fundacje dopiero zaczynały powstawać, tak jak rodził się też ruch pisania wielkich i trwałych reguł. Reguła napisana przez św. Ce-



zarego<sup>3</sup> dla mniszek w Arles oraz fundacja Rade-  
gundy stoją u początku tego szeregu. (Nawiasem  
mówiąc, klasztor w Poitiers zajmuje dzisiaj miejsce  
pierwsze, w tym sensie, że jest to najstarsza obec-  
nie istniejąca żeńska wspólnota zakonna w Ko-  
ściele zachodnim. Nie zmiotła jej z ziemi nawet re-  
wolucja francuska<sup>4</sup>).

Po trzecie, Radegunda nie przejęła się trady-  
cją, wedle której założycielka wspólnoty stawiała  
się automatycznie jej przełożoną. Zdała ten urząd  
Agnieszce, przeprowadzając to w dodatku praw-  
nie na podstawie elekcji dokonanej przez siostry  
i po konsultacji z biskupami: zdumiewający lega-  
lizm jak na tę epokę! Niemniej, jakkolwiek sama  
pisze i jest najwyraźniej przekonana, że poddała  
się pod władzę Agnieszki, ta ostatnia nadal uzna-  
wała jej autorytet założycielki i duchowej prze-  
wodniczki zgromadzenia. Baudonivia, nie bawiąc  
się w subtelności prawne, potrafi napisać, że pani  
Radegunda w czasach zagrożenia pokoju między  
królami nakładała zgromadzeniu dodatkowe czu-  
wania modlitewne – chociaż przecież nie jej rze-  
czą jako szeregowej mniszki byłoby cokolwiek ko-  
mukolwiek nakładać. Najwyraźniej wspólnota za

---

<sup>3</sup> Św. Cezary żył w latach 470–543.

<sup>4</sup> Ze swojej historycznej siedziby w centrum miasta siostry  
przeniosły się pod koniec XX wieku na jego peryferie, niemniej  
klasztor istnieje.

życia założycielki miała dwie przełożone i ze zdumieniem należy stwierdzić, że przez kilkadziesiąt lat działało to bezkonfliktowo. To daje pojęcie o poziomie duchowym obu pań i o ich wzajemnym zrozumieniu.

I wreszcie po czwarte, za wzorem św. Augustyna pojmowano tutaj ubóstwo monastyczne jako wspólnotę dóbr; poszczególne mniszki nie posiadały nic na własność, ale wspólnota jako całość miała odpowiednie dla epoki środki utrzymania, żeby było co jeść, w co się odziać, gdzie mieszkać i gdzie się modlić. Dzisiaj, po kilkunastu wiekach rozwoju prawodawstwa zakonnego, uważamy to za rzecz normalną, ale wtedy było to tylko jedno z możliwych rozwiązań.

Rok 567 okazał się dla klasztoru ważny nie tylko jako rok synodu w Tours, ale także jako czas przybycia Wenancjusza Fortunata. Ten Włoch, wędrowiec, podówczas już trzydziestoletni, poeta i muzyk, poszukiwacz Boga i powołania, którego do tej pory nie umiał określić, znalazł tutaj wszystko, czego pragnął. Osiadł przy klasztorze i przyjął święcenia kapłańskie. I okazało się, że jest wszechstronnie uzdolniony: świątobliwy kapelan, autor hymnów liturgicznych (niektóre śpiewamy do dzisiaj) – tak, ale zarazem zarządca majątku, i z tym wysoce praktycznym zajęciem radził sobie równie dobrze jak ze swoją ojczystą łaciną. A na-



wiasem mówiąc, może to on podniósł znajomość łaciny w klasztorze do takiego poziomu, że przynajmniej część mniszek (wśród nich Baudonivia) władała nią płynnie? Podziwiał życie klasztoru; co z niego rozumiał, to inna sprawa. Kiedy się czyta jego wiersze, w których roztkliwia się nad tym, jak Radegunda ustawia kolorowe kwiaty w kościele, można by mniemać, że ta służba ołtarza jest jakimś życiowym portem, do którego ekskrólowa zawinęła, szukając już tylko ukojenia i piękna. A przecież Wenancjusz miał wciąż przed oczami jej nieustanne zatroskanie o losy kraju. Może ono się nie nadawało na temat literacki? Albo nie mieściło się w jego pojęciu o świętości?

Co się niewątpliwie na temat wiersza nie nadawało, to fochy biskupa Merowecha. Najpóźniej w roku 568 Radegunda uzyskała od króla Sigiberta to, co dziś nazwalibyśmy poparciem dyplomatycznym, i wyprawiła posłów do cesarza bizantyńskiego Justyna II z prośbą o relikwie Krzyża Świętego. Chodziło jej, jak już mówiliśmy, o jakiś potężny święty skarb mający być źródłem łaski dla całego kraju, ale także i fundamentem jego jedności, przyjaźni między jego dzielnicami. Dziś nazwalibyśmy to narodowym sanktuarium o jednoczącej roli. Nie jest jasne, czy biskup już od początku był temu przeciwny – ale ufano, że jeszcze zmieni zdanie – czy też swój sprzeciw ujawnił do-

piero po powrocie posłów. W każdym razie, kiedy posłowie wrócili pod koniec lata 569 roku, wioząc upragnione relikwie, i chodziło o ich uroczyste wprowadzenie do klasztornego kościoła – a Wenancjusz Fortunatus przygotował nawet na tę uroczystość specjalne hymny<sup>5</sup> – biskup odmówił udziału w obrzędzie i wyjechał z miasta. Historycy domyślają się, że uważał takie nowo powstające miejsce pielgrzymkowe za konkurencję dla swojej katedry, w której spoczywał św. Hilary... Co więc było zrobić, odsyłać relikwie? Po kolejnej interwencji Sigiberta i oczywiście zwłóce potrzebnej na całą korespondencję wprowadzenia ich dokonał 14 września biskup Tours Eufroniusz. Merowech, urażony, że obyło się bez jego udziału i pozwolenia, był od tej pory przez dwadzieścia lat nieprzyjazny klasztorowi, mimo licznych starań Radegundy o przywrócenie zgody; to, naturalnie, powodowało częste kłopoty i zagrożenia. Grzegorz z Tours twierdzi, że ksieni Agnieszka zdołała wprawdzie w końcu po śmierci założycielki przebłagać upartego hierarchę, ale nie na tyle, żeby jego uraza przy tej czy innej okazji nie ujawniała się znowu.

---

<sup>5</sup> *Vexilla Regis i Pange, lingua, gloriosiproelium certaminis*; ten ostatni jest pierwowzorem popularnej pieśni *Krzyżu święty*.

Według Grzegorza także dopiero wtedy w klasztorze, zwanym już odtąd klasztorem Świętego Krzyża, przyjęto regułę cezariańską, a Radegunda i Agnieszka same nawet pojechały po nią do Arles do Cezarii<sup>6</sup>. Zapewne były tam rzeczywiście, gdyż zachowały się rady, których Cezaria miała udzielić im ustnie, zwłaszcza w kwestii przestrzegania klauzury; ale regułę niewątpliwie otrzymały już wcześniej. Teraz potwierdzały tylko swoje kontakty. Nie istniały jeszcze wówczas zakony zarządzane centralnie, więc Cezaria nie była żadną ksienią generalną nad klasztorami, które by chciały żyć według arleateńskich ustaw, ale jej autorytet moralny był w kraju duży; a nie mając obrońcy we własnym biskupie, trzeba było sobie szukać innego. Świeckim oparciem byli oczywiście wszyscy czterej królowie, którzy podpisali stosowny dokument. Oparcia kościelnego szukano raczej w klasztorze w Arles niż u któregoś z sąsiednich biskupów, co by mogło Merowecha ponownie rozjątrzyć.

Niemniej można było jeszcze spróbować oddać klasztor w opiekę całego episkopatu, i to Radegunda zrobiła w osobnym liście rozesłanym w kopiach do wszystkich biskupów, do królów i do ma-

---

<sup>6</sup> Siostra św. Cezarego z Arles (ur. ok. 465–475, zm. ok. 525–540).

gnatów. Opowiada w nim historię fundacji (już tu zacytowaliśmy ten fragment) i prosi adresatów o opiekę nad nią. Jest to jakby testament, chociaż nie wiadomo, jak długo przed faktyczną jej śmiercią napisany. W szczególności prosi tam Radegunda o zachowanie w klasztorze porządków przez siebie ustanowionych:

Gdyby zaś, w co nie chcę wierzyć, po mojej śmierci ktoś (czy to biskup miasta, czy królewski urzędnik, czy ktokolwiek inny) chciał przypadkiem niepokoić klasztor albo zmieniać regułę, albo ustanawiać inną ksienię niż moja siostra Agnieszka (...), albo gdyby same zakonnice, co się nigdy zdarzyć nie powinno, miały się zmówić i zamierzały coś zmienić, albo gdyby ktokolwiek, choćby to był sam biskup miasta, miał sobie rościć uprawnienia do jakiegokolwiek władzy w samym klasztorze (...).

W tych wszystkich wypadkach oraz w razie jakiegokolwiek szarpania klasztornych włości prosi Radegunda o interwencję i ratunek. Po śmierci Agnieszki należy ustanowić następczynię, którą mniszki wybiorą. Dokładnie biorąc, powiedziane jest: „która będzie Bogu i mniszkom miła”; zauważmy przy okazji, że podobnie jak w regule św. Benedykta, odróżniono tu wybór (przez zgromadzenie) od ustanowienia (przez zwierzchników Kościoła). Dla samej siebie pisząca prosi o pogrzeb

w kościele pod wezwaniem Matki Bożej, który zaczęła budować przy klasztorze i w którym już pochowano wiele zmarłych mniszek – niezależnie od tego, czy kościół będzie już wówczas ukończony czy nie.

Kiedy tak zadbała o przyszłość, pozostawało już tylko życie codzienne w służbie Bożej. Możemy je sobie dość dobrze odmalować, znając regulę św. Cezarego. Przede wszystkim świat klasztoru cezariańskiego był cały w tonach biało-szarych. Nie malowane ściany, zapewne kamienne; na ścianach najwyżej szare kotary; żadnych ozdób nawet w kościele, żadnych kobierców czy kap. Wszędzie tylko wełna w naturalnym kolorze szaromlecznym, nie farbowana ani nie bielona; można najwyżej naszywać na niej czarne krzyżyki. To pewnie dlatego Wenancjusz Fortunatus z takim entuzjazmem wylicza jaskrawe barwy kwiatów zdobiących kościół, jedyny w nim kolorowy ornament... Przędzenie i tkanie tej wełny były główną pracą mniszek; potrzeba jej było niemało, skoro siostry same sporządzały dla siebie odzienie i poślanie, nie mówiąc już o zasłonach zawieszanych wówczas na ścianach dla ochrony przed wiatrem wpadającym przez wszelkie szczeliny. A mniszek mogło być dużo; u Cezarii, jak wiadomo, było ich wtedy ponad dwieście, zapewne więc i w nowym klasztorze Radegundy szybko osiągnięto podob-

ną liczbę. Trzeba pamiętać, że solidnych i ustabilizowanych fundacji, zapewniających jakie takie bezpieczeństwo nawet w wilczym stadzie, a tym samym mogących liczyć na przychylność i zgodę rodziców kandydatek – było wówczas w państwie frankijskim bardzo niewiele.

Kołowrotków jeszcze wówczas nie znano, ale wrzeczona furczały całymi dniami, a trochę i nocą, gdyż robotę zabierano także na nocne nabożeństwa, czyli wigilie. Był to pomysł św. Cezarego, odziedziczony jeszcze po pustelnikach egipskich: chodziło o to, żeby podczas bardzo długich czytań słuchaczki się po prostu nie pospały. Wspomnieniom Baudonivii zawdzięczamy szczegół, że po czytaniach mniszki miały zwyczaj prosić Radegundę o wyjaśnienia; a jeśli czasem z szacunku nie śmiały pytać długo, ona sama dopominała się o pytania albo komentowała przeczytane teksty. Raz jeszcze zauważmy, że jej pozycja w klasztorze była szczególna: do szeregowej mniszki, za jaką chcą ją uważać hagiografowie, współsiostry miałyby więcej śmiałości. Z relacji o epizodzie, który miał miejsce dopiero po jej śmierci, dowiadujemy się, że istniało, może w kościele, specjalne krzesło dla niej, nazywane tronem, i że nikt inny nie ośmieliłby się tam usiąść. Wiadomo także, że nie mieszkała razem z siostrami (reguła wyznacza jedną wspólną sypialnię dla wszystkich, nie-



zależnie od wieku i urzędu), ale w osobnej celi przylegającej do kościoła. Może dlatego, chociaż mniszki reguły cezariańskiej zobowiązane były do ścisłej klauzury i miały wyraźny zakaz urządzania dla kogokolwiek posiłków, żeby przypadkiem nie wkradło się do klasztoru ucztowanie ze świeckimi – o Radegundzie zapisano, że osobiście usługiwała pielgrzymom. Jeśli ta informacja nie dotyczy wcześniejszego okresu jej życia, to jest jeszcze jednym dowodem na to, że założycielka żyła na nieco innych prawach niż reszta wspólnoty.

Zarazem jednak brała pełny i serdeczny udział w jej życiu. Grzegorz z Tours opisuje nam scenę pożegnania jednej z mniszek, która uzyskała pozwolenie na życie w rekluzji; całe zgromadzenie odprowadziło ją procesjonalnie, ze śpiewem i ze świecami, do wyznaczonej celki, a to Radegunda właśnie wiodła ją pod rękę. Ponadto tenże Grzegorz wspomina, że Gundowald, najmłodszy syn Chlotara, poprzednio wydziedziczony (i ostrzyżony) przez ojca, kiedy po dłuższym pobycie w Bizancjum wrócił jako pretendent do tronu, a kwestionowano jego tożsamość, odwoływał się między innymi do Radegundy jako zdolnej go rozpoznać. Tak więc ani życie klasztoru, ani życie dynastii nie mogło się obejść bez niej, dopóki była na świecie.

Na kontynencie już pod koniec jej życia, bo od około 575 roku do 615, działał mnich irlandzki św.

Kolumban – asceta i wędrowiec, drwal i kaznodzieja, doradca królów, ale i *persona non grata* w ich państwach; autor reguły dla mnichów i założyciel licznych klasztorów, które stały się na długo ośrodkami pracy misyjnej i reformatorskiej. Zdaje się jednak, że nie tylko królowie merowińscy miewali do niego zastrzeżenia; kler galloromański w państwie Franków także nie bardzo wiedział, co zrobić z tym celtyckim szaleńcem Bożym. Grzegorz z Tours w swoich *Historiach* pomija go kompletnie, jak pomija się temat niejednoznaczny i niewygodny. I nie widać też żadnych zapisów o tym, jakoby Radegunda kiedykolwiek go spotkała. W niedalekiej przyszłości duchowość i reguła Kolumbana miały mieć wielkie powodzenie w Galii, ale zdaje się, że o aprobatę miejscowego kleru dla nich łatwiej było, kiedy już jego samego zabrakło.

Radegunda zmarła 13 sierpnia 587.